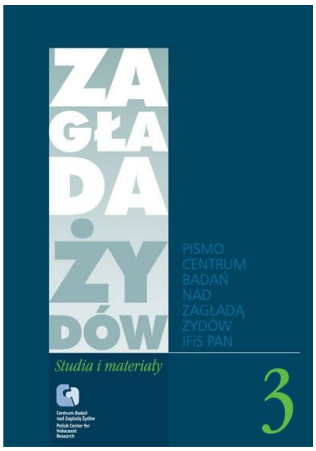


Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 3 (2007)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Blondyn o wyglądzie niezbyt semickim

A Fair-haired Man with a not-Very-Semitic Appearance

Łukasz Biedka

lkb@poczta.onet.pl

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.234
Strony/Pages: 266-283

CC BY

OPEN ACCESS

Łukasz Biedka

Blondyn o wyglądzie niezbyt semickim

Coraz rzadziej do rąk badacza czasów Zagłady trafia nieznana relacja, świadectwo pozostawione przez Żyda, który przeżył okupację w Polsce. Kiedy się już to zdarza, są to najczęściej wydane poza Polską wspomnienia napisane przez ocalonych bądź ocalałych, opowieści pisane dla rodziny, „dla wnuków". Takie opowieści będą się ukazywać coraz rzadziej. W tym tomie przedstawiamy taką właśnie relację z getta przemyskiego, pisaną przez autora „dla siebie, do szuflady".

Z tym „dla siebie" jest podobnie jak z pamiętnikami zdradzającymi sekrety, igrającymi z możliwością, że w istocie zostaną przeczytane. Wyznania powierzane pamiętnikom są szczere, pozwalają powiedzieć to, czego autor nie chce powiedzieć głośno, a co w jakiś sposób domaga się powiedzenia. Są wentylem bezpieczeństwa, sposobem na ułożenie myśli i przywołanie dawnych przeżyć, próbą generalną przed wyznaniem trudnej do przekazania prawdy. Do szuflady pisze się z niepewności co do wartości literackiej tekstu, z wątpliwości, czy to, co ma się do powiedzenia, kogokolwiek obejdzie, z lęku przed oceną. Do szuflady można napisać, kim się jest, co się przeżyło, bez obawy o reakcję otoczenia. Publikacja zaś to świadome ujawnienie skrywanych faktów, czasem – tajonej tożsamości. Takie pamiętniki i wspomnienia są też zwykle do kogoś adresowane, pisane z myślą o konkretnym czytelniku. Zwykle dla najbliższych. Te były pisane dla najszerszego kręgu odbiorców.

Czym różni się prezentowana relacja od innych relacji z przemyskiego getta? Przede wszystkim tym, że jest znana od niedawna. Została przekazana do publikacji kilka miesięcy po śmierci autora, który zmarł w czerwcu 2006 roku. Esriel Leimsieder żył po wojnie w Polsce „na aryjskich papierach", pod przybranym nazwiskiem. Był człowiekiem bardzo skrytym, rzadko zwierzał się ze swoich okupacyjnych przeżyć i niewiele osób wiedziało o jego pochodzeniu. O tym mówił tylko bliskim przyjaciołom, ale o przemyskim okresie życia nie opowiadał nikomu. Z jego najbliższej rodziny nie przeżył nikt. Dalsza rodzina była bardzo nieliczna. Należał do tej kategorii ocalałych Żydów, którzy nie mieli ani silnej tożsamości żydowskiej, ani religijnej. Nie miał nic, co by go popchnęło ku emigracji albo w stronę żydowskich organizacji w powojennej Polsce. Jako potomek rodziny niezbyt zakorzenionej w Przemyślu, nie miał powodu, aby tam pozostać. W Przemyślu miał zaledwie garstkę przyjaciół, był wolny od zobowiązań i na tyle silny, aby kształtować swoje życie według własnego pomysłu. Przed opuszczeniem Przemyśla złożył krótkie zeznanie przed przedstawicielem Wojewódzkiej Komisji Historycznej, w całości poświęcone opisowi jednego epizodu w historii przemyskiego getta – publicznej egzekucji trzech młodych Żydów i wydarzeń,

które do niej doprowadziły oraz nastąpiły tuż po niej[1]. Zdarzenie to relacjonuje również w swoich wspomnieniach.

Nie wiemy, sam autor mógł tego też dokładnie nie wiedzieć, czy ukrywanie swojej żydowskiej tożsamości (może jej nie miał – to, że się było obiektem polowania, nie czyni z człowieka zwierzyny) wynikało z obawy o reakcje otoczenia. Nic nie wskazuje na to, żeby miał na tym punkcie jakąś szczególną obsesję. Może nie chciał być zaszufladkowany jako ocalały Żyd. Może nie chciał współczucia. A może najważniejszym motywem była obawa przed ciągłą konfrontacją z traumatycznymi wspomnieniami.

Nie wiemy nawet, kiedy dokładnie Esriel Leimsieder spisywał swoje wspomnienia. Na pewno wiele lat po wojnie, w latach 70., może 80. Wiemy, że ostatecznie zażyczył sobie, żeby te wspomnienia opublikować. Z relacji najbliższych wiemy, że w ostatnich dniach życia przeżywał całą swoją przeszłość w bardzo dramatyczny sposób.

To, co jest szczególne w tych wspomnieniach, to fakt, że Esriel Leimsieder był jedynym świadkiem ostatnich dni getta w Przemyślu, zapewne jedynym ocalałym z ostatniej grupy przemyskich Żydów wywiezionych do Stalowej Woli po ostatecznej likwidacji getta, a raczej obozu pracy przymusowej (ZAL), jakim przemyskie getto stało się w styczniu 1943 roku. Jedynym, który przeżył to getto od początku jego istnienia do końca.

Tu czytelnikowi należy się kilka słów wyjaśnienia. Leimsieder, jak sam zapowiada na wstępie swojej relacji, istotnie myli daty i miejsca. To charakterystyczne dla osoby, która nigdy nie dzieliła się z nikim wspomnieniami z młodości. Te pomyłki są prostowane w przypisach. Krótka historia przemyskiego getta może być jednak pomocna w lekturze tekstu, w którym autor pominął lub pomylił wydarzenia albo daty. Poniższy szkic opisuje główne wydarzenia z życia i zagłady żydowskiej społeczności Przemyśla w okresie okupacji (te wspomniane i te pominięte przez Esriela Leimsiedera) oraz topografię getta, w którym Esriel przeżył blisko trzy lata swojego życia, z uwzględnieniem miejsc, w których przebywał.

Przemyśl był zajmowany przez Niemców dwa razy. Po raz pierwszy 15 września 1939 roku. Pozostali w mieście 11 dni, po czym, na mocy ustaleń paktu Ribbentrop-Mołotow, wycofali się na lewy brzeg Sanu, stanowiącego linię demarkacyjną między okupantami. Przed wycofaniem zamordowali w kilku egzekucjach kilkuset Żydów (przemyskich oraz uchodźców z innych miejscowości) i wypędzili za San większość Żydów przebywających na Zasaniu, mającym odtąd stanowić niemiecką część miasta – Deutsch Przemysl. Na Zasaniu pozostała niewielka grupa Żydów, około 70 osób, które Niemcy w czasie, gdy tworzono getta w pozostałej części Generalnego Gubernatorstwa, zamknęli w dwóch barakach na Zasaniu. Było to swoiste małe getto. Po raz drugi Niemcy zajęli Przemyśl w czerwcu 1941 roku, po ataku na Związek Sowiecki. W mieście mieszkało wtedy około 17 000 Żydów. Wkrótce całą żydowską ludność Przemyśla objęło ustawodawstwo Generalnego Gubernatorstwa i dotknęły ich takie same prześladowania, jak na całym obszarze okupowanej Polski. Żydzi na Zasaniu zostali odsepa-

[1] AŻIH 301/669. Do protokołu zeznania podaje imiona swoje i rodziców używane na co dzień, a nie metrykalne, którymi przedstawia siebie i rodziców we wspomnieniach. Podaje też inną datę swoich urodzin.

rowani od ludności prawobrzeżnego Przemyśla. Zamordowano ich na początku lipca 1942 roku. Choć żydowska dzielnica mieszkaniowa została wyznaczona już jesienią 1941 roku (i wtedy Żydzi zaczęli się w niej powoli osiedlać), przymusowe przesiedlenia do getta zaczęły się dopiero wiosną roku następnego, a ostateczne zamknięcie getta nastąpiło 16 lipca 1942 roku, zaledwie 11 dni przed pierwszymi deportacjami. 18 czerwca wywieziono do obozu we Lwowie przy ulicy Janowskiej 1000 młodych mężczyzn. W kolejnych dniach do getta zwieziono 5000 Żydów z okolicznych miejscowości. Pierwsza akcja zaczęła się w Przemyślu 27 lipca i trwała tydzień. W trzech transportach wywieziono wtedy do Bełżca około 12 500 ludzi. Tak jak w innych miastach akcji deportacyjnej towarzyszyły egzekucje w podmiejskich lasach, gdzie zginęło 2500 osób – głównie starszych, inwalidów, dzieci. Druga akcja, 11 listopada, objęła około 4000 Żydów. Wywieziono ich również do Bełżca. O tej akcji Leimsieder nie wspomina. Po pierwszej akcji obszar żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej zmniejszył się o 80 proc. Po drugiej getto jeszcze bardziej zmniejszono i podzielono na getto A – dla pracujących, przekształcone w lutym 1943 roku w *Zwangsarbeitslager*, oraz getto B, dla niepracujących. To ostatnie stanowił kwartał pomiędzy ulicami Rokitniańską, Gen. Iwaszkiewicza (obecnie ul. Bohaterów Getta), Kopernika i Czarnieckiego, którego sporą część zajmowało więzienie, a najdłuższy bok tego czworokąta mierzył nie więcej niż 300 m. Ulica Czarnieckiego sąsiadowała z przemyskim dworcem kolejowym, położonym po drugiej stronie torów. To tam była bocznica kolejowa, przy której, bezpośrednio z ulicy Czarnieckiego, odbywał się załadunek skazanych na zagładę. Główną część getta A stanowiły warsztaty w dawnych koszarach po drugiej stronie ul. Rokitniańskiej, przy ul. Czarnieckiego, oraz kilka placówek położonych w różnych częściach miasta i na przedmieściach. Niektóre z tych „szopów" były rodzajem małych filii getta A – pracujący w nich nie wracali na noc do getta. Takie podobozy znajdowały się przy ul. Przekopanej i na Bakończycach. Przez 10 miesięcy nie było masowych wywózek do obozów zagłady. Publiczna egzekucja, którą opisuje Leimsieder (oraz większość relacji ocalałych z przemyskiego getta), miała miejsce w maju 1943 roku. Względny spokój trwał do września 1943 roku. Kolejną akcję, której Niemcy nadali nazwę *Judenrein*, przeprowadzono w dniach 2–3 września 1943 roku. Była to opisana przez autora wspomnień likwidacja getta B. Pierwszego dnia wywieziono do Auschwitz-Birkenau 3500 osób. Drugiego – 600 do obozu w Szebniach. Po tej akcji nadal ukrywało się na terenie getta wielu niepracujących. 11 września zgromadzono ich, kilkuset ludzi, na placu położonym w środku getta, pod pretekstem wydawania nowych dokumentów. Zostali oficjalnie skazani na śmierć za „unikanie przesiedlenia". Rozstrzelano ich w trwającej cały dzień egzekucji (nazwanej przez Niemców *Turnhallenaktion*) wraz ze złapanymi i wyciągniętymi z bunkrów na dziedzińcu Judenratu, koło dawnej sali gimnastycznej. Zginęło wtedy 1580 osób. W następnych dniach wszystkie zwłoki spalono w tym samym miejscu. Działo się to 200 m od ruchliwego dworca kolejowego i 50 m od miejsca, gdzie ukrywał się Leimsieder. 28 listopada drugi transport do obozu w Szebniach zabrał kolejnych 100 Żydów. Stuosobowy transport odprawiono do Pionek. W getcie A pozostała niewielka grupa więźniów, do której później dołączył Leimsieder ze swym towarzyszem. Jak pisze, zostali przetransportowani do obozu w Stalowej Woli 1 lutego 1944 roku. W Przemyślu ukrywało się jeszcze około 200 Żydów, w klasztorach,

u aryjskich rodzin i w bunkrach. Ostatni bunkier, położony pod Przemyślem, Niemcy zlikwidowali dwa miesiące przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Przemyśl został wyzwolony 27 lipca 1944 roku, dokładnie dwa lata po pierwszej deportacji przemyskich Żydów do obozu zagłady.

Staraliśmy się zachować wiernie pisownię oryginału, pozostawiając w kilku przypadkach skreślone zdania lub wersje ujęte w nawias.

Esriel Leimsieder

Notatnik mojej pamięci o martyrologii polskich Żydów z getta w Przemyślu

Zapiszę to, co pamiętam –
dla siebie.

Będą to autentyczne zdarzenia o martyrologii Żydów getta przemyskiego i fakty okrutnej grozy tamtych dni moich. Rzecz jasna to przeżycia na pewno nie wszystkich mych okrutnych doznań, gdyż niektóre uleciały w zapomnienie.

Nie mam zamiaru zmyślać, przeinaczać czy gloryfikować wydarzeń – wyważę słowa na – możliwie zweryfikowanej – szali zawodnej wszakże pamięci.

Po upływie wielu lat od wojny, refleksje moje mogą być nie w pełni dokładne i tylko w miarę obiektywne, choć pewnie rzetelne. Być może nie wysilę się zbytnio w mych relacjach na chronologiczny ład czy ścisłość dat, i nie zakładam nieomylności sądów i ocen. Nie przywiązuję też większej wagi do stylistyki, składni itp. – (zapewne znajdą się błędy, poprawki, skreślenia i dopiski). Układam zdania bez nadmiernej dbałości i niektóre mogą się wydawać niewiarygodne, niezręczne, nazbyt dosadne, a nawet trywialne, ale tak to wtedy było naprawdę – i tak to pamiętam.

Ja – Esriel Leimsieder – pochodzenia żydowskiego urodziłem się w Przemyślu 9 lutego 1925 roku[2].

Ojciec mój (jasny blondyn) Moritz Hut urodził się we wsi Żabłotce, powiat Brody w 1890 roku, a zmarł w Przemyślu w 1940 roku[3] zakatowany przez Niemców.

Matka moja (ciemna szatynka) – Mirla Leimsieder została wywieziona z przemyskiego getta do obozu zagłady w Bełżcu w lipcu 1942 roku.

Siostra moja (jasna blondynka) – Feiga Leimsieder urodzona w Przemyślu w 1923 roku wywieziona została wraz z matką do Bełżca.

Ja (blondyn o wyglądzie niezbyt semickim) przebywałem w przemyskim getcie do końca jego istnienia. Po całkowitej zaś likwidacji getta zostałem – z setką pozosta-

[2] Jak potwierdza rodzina Autora, tu podaje on prawdziwą datę urodzin. Od okupacji podawał jednak często datę późniejszą, z kenkarty, o której zdobyciu nie pisze we wspomnieniach.

[3] Niemcy byli wtedy na Zasaniu, po drugiej stronie rzeki, a w Przemyślu prawobrzeżnym – Sowieci. Na listach zasańskiego getta nie ma jednak rodziny Leimsieder ani Hut. Niżej autor pisze, że „byli już wtedy za płotem" i „na żydowski cmentarz, by pochować tatę". Ponieważ żydowski cmentarz był tylko w Przemyślu prawobrzeżnym, wydarzenie musiało mieć miejsce w 1942 roku.

łych Żydów – wywieziony 1 lutego 1945 roku[4] do „Obozu Pracy dla Żydów" w Stalowej Woli, z którego uciekłem w sierpniu tegoż roku.

Moja liczna rodzina z innych miast (Lwów, Katowice, Krynica, Jasło) zaginęła bez wieści.

W 1939 roku – po zajęciu przez Niemców Przemyśla aż po lewą stronę Sanu – musiałem założyć na rękaw opaskę z „gwiazdą Dawida"[5] i tak paradować do różnych robót porządkowych po bombardowaniach miasta i wysadzeniu mostu na rzece. Drugą połowę Przemyśla (Zasanie) zajęli Rosjanie, na podstawie paktu Ribbentrop–Mołotow.

Mieszkałem z rodzicami i siostrą w małym pokoiku przy ul. Smolki nr 5[6], a gdy Niemcy utworzyli „Żydowską Dzielnicę Mieszkaniową", musieliśmy się wyprowadzić na peryferyjną ul. Pobereże (Pobrzeże?), potem zaś – jeszcze dalej – na ul. Wilcze[7].

Byliśmy już za ogrodzeniem (płotem), ale wychodziliśmy pracować na aryjską stronę. Pewnego dnia ojciec mój na targowym rynku nie zdjął czapki przed oficerem i został za to tak okrutnie pobity, że po dwóch dniach zmarł. Dostałem wtedy jeden dzień wolnego z pracy z pozwoleniem na pogrzeb oraz furę węgla gratis. Bocznymi ulicami szedłem tylko z mamą i siostrą na żydowski cmentarz, by pochować tatę i zmówić „kadisz".

Pracowałem wówczas na bocznicy kolejowej przy rozładowywaniu węgla, dźwigałem worki z cementem i z rampy do magazynu zanosiłem tzw. Holzwolle. Potem zostałem przydzielony do lepszej roboty przy opróżnianiu towarowych wagonów ze znoszoną na frontach odzieżą, którą zrzucaliśmy na podstawiane furmanki. W przerwach (idąc niby na śniadanie) wynosiłem za wagony (co lepsze) swetry, podkoszulki, a nawet buty i wymieniałem z Polakami na żywność, aż pewnego razu – „Alle raus! – alle raus" – Rewizja! Kto co wziął z wagonu, ma wystąpić z szeregu! Ja miałem na sobie dwa zielone pulowery – jeden pod koszulą, a drugi przewieszony w kroku, w nogawkach. Podkasałem trochę rękawy, stanąłem w małym rozkroku i ani drgnąłem – choć ryzyko było ogromne! Tych, co się przyznali, nigdy już w getcie nie spotkałem…

Następny mój przydział do pracy to wojskowa (Wehrmacht) wartownia – codziennie czyściłem żołnierzom jedenaście par butów, sprzątałem, zarzynałem – zabierane przez Niemców wieśniakom – kurczaki, piekłem je na okrąglaczku i nawet czasem obgryzałem kości. Na obiad przywozili z kantyny w kanistrze bardzo treściwą zupę z wkładką mięsa – (Eintopfgericht), a jak czasem niezbyt im smakowała, to resztę zabierałem do domu dla mamy i siostry. Niekiedy dostawałem papierosy i niedopałki (pety) oddawałem kolegom na placu, a nienapoczęte szmuglowałem do getta. Dałem się chyba lubić – nazywali mnie żartobliwie – Unser kleiner Piccolo.

Przed wyjazdem na front zanucili mi starogermańską pieśń pożegnalną i zostawili mi na pamiątkę ustną harmonijkę.

---

[4] Chodzi oczywiście o rok 1944.

[5] To również miałoby oznaczać, że Leimsieder mieszkał z rodzicami na Zasaniu do czasu inwazji Niemiec na Związek Sowiecki w 1941 roku. Wszystko jednak wskazuje na to, że cały czas mieszkał w prawobrzeżnym Przemyślu.

[6] To już Przemyśl prawobrzeżny.

[7] Obie nazwy, Pobereże i Wilcze, są nazwami dzielnic, nie ulic. Pobereże jest nazwą ukraińską i od dawna, niekonsekwentnie, jest zastępowane nazwą Pobrzeże.

W połowie 1942 roku Judenrat ogłosił, że odbędzie się akcja przesiedleńcza Żydów[8] i niektórzy potrzebni do pracy mężczyźni otrzymają zaświadczenia, że mogą pozostać w getcie – zaś wszyscy inni będą musieli z Przemyśla wyjechać.

Wtedy getto jeszcze nie miało rozeznania, co czeka wysiedleńców. Dlaczego (po co) i dokąd mają emigrować na niby korzystniejszą egzystencję, na spokojniejsze jakoby życie, choć niektórzy chcieli w to wierzyć. Złudne nadzieje prysły, gdy podjechały zadrutowane (bydlęce) wagony towarowe. Ludzie widząc, jak straszne są perspektywy, naradzali się, szukali protekcji, podejmowali desperackie ucieczki, a nawet popełniali samobójstwa.

Pod Judenratem obłędny tłum wyciągał ręce błagające o Bescheinigung na pozostanie w getcie, ale tylko wysortowani otrzymywali taki glejt. Mnie się jakoś udało[9], ale moja kochana mama i siostra popłakiwały całą noc, pakując toboły, gotowały jakieś tam strawy i piekły „bajgiełe" na podróż w nieznane. Rano musieliśmy się pożegnać, zabrakło nam jednak słów i łez... Ustawiono dwie kolumny marszowe. Ja wychodziłem z getta do pracy, a mamę z siostrą prowadzili [ponaglali, poganiali kolbami] Niemcy w przeciwnym kierunku, w stronę odrutowanych, podstawionych wagonów. Wołałem rozpaczliwie: „mamo! mamo!...", ale one pomachiwały tylko chustkami, aż znikły mi z oczu. „Ordnerzy" pocieszali mnie, że na pewno się odnajdziemy, gdyż wkrótce otrzymam adres ich pobytu. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że będzie to „Konzentrationslager Bełżec", i że jadą tam na zawsze, że pójdą przez komin do nieba...

Zostałem sam –

Dotąd mama dbała o nas – prała, pichciła (choćby placki z kartoflanych obierek pieczone wprost na kuchennym blacie), teraz przymierałem głodem i stałem się dosłownie żebrakiem. Tak, naprawdę! – chodziłem po domach z menażką, by dostać trochę często skwaszonej zupy czy kawałek suchego chleba. Byłem tak osłabiony, że ledwo powłóczyłem nogami. Padałem czasem gdzieś w kącie korytarza i spałem pod schodami.

Gdy rozeszła się wieść, że ma być druga wywózka (a były już wtedy przecieki o Bełżcu), nie wróciłem – rzecz jasna – po pracy do getta. Zdjąłem z rękawa zdradliwą opaskę i – włócząc się aryjskimi ulicami – rozważałem czy pójść – nie pójść do baby z Pikulic, która z tej wsi przywoziła nam przed wojną mleko, lecz nie byłem pewny, czy zechce mnie ukrywać. Wiedziałem, że to bardzo ryzykowne...

Zbliżał się wieczór, a ja nie miałem gdzie się podziać. U wylotu ul. Smolki usłyszałem nagle za sobą – „ty jesteś Żydek – co?". Zaskoczony znienacka – struchlałem i przytaknąłem. Był to – nieco już starszy – sympatycznie wyglądający facet, który – widząc moje przerażenie – powiedział z uśmiechem: „Nie bój się, chodź, to cię przenocuję" – trudno, byłem przecież bez wyjścia...

Pan Stasiek wpuścił mnie dyskretnie do swego przytulnego mieszkania, poprosił do pokoju, powiedział, że mam się czuć jak u siebie w dawniejszym domu, rozpłasz-

---

[8] Judenrat został zawiadomiony o wysiedleniach 23 lipca 1942 roku, oficjalne ogłoszenie jest datowane na 27 lipca 1942 roku, dzień pierwszej deportacji, zob. A. Menczer (red.), *Sefer Przemysl*, Tel Aviv 1964, s. 380.

[9] Jako pracujący dla Wehrmachtu, Esriel mógł znaleźć się w grupie Żydów, których uratował przed deportacją słynny porucznik Albert Battl.

czyć się i zdjąć – z obolałych nóg – buty. Zaproponował też, bym wyciągnął się na wygodnej kanapie i podsunął mi do obejrzenia pękate rodzinne albumy, a on pourzęduje w kuchni. Podczas gdy pan Stasiek coś tam szykował do jedzenia, przerzuciłem pobieżnie jego „żonkę z dziećmy" na nieciekawych, wyblakłych zdjęciach i podziwiałem w zadumie wiszący nade mną święty obraz Matki Boskiej. Poczułem się jak wniebowzięty i chciałem jej podziękować za zesłanie mi wybawiciela (z mego położenia), ale pomyślałem (sobie), że tyle jest na świecie różnych Matek Bożych (Fatimska, Zielna, Ostrobramska), a ja wolałbym, żeby ta ze ściany była Częstochowska. Podobno średniowieczni rycerze – złupiwszy prawosławny klasztor (grecki czy turecki) przywłaszczyli sobie ikonę Madonny z dzieciątkiem, przywieźli do kraju i tak trafiła na Jasną Górę, gdzie została potem ukoronowana na królową Polski, pomimo że była Żydówką.

Porzuciwszy te bluźniercze myśli, na wszelki wypadek wolałem podziękować mojemu Panu Bogu, który wprawdzie objawił się Mojżeszowi, ale coraz częściej wątpiłem w jego istnienie. Jak to – pozwala hitlerowcom (tak) bezkarnie mordować ludzi i nigdy nie okazuje jakoś swej wszechmocnej potęgi – czy możliwości wymierzania sprawiedliwości?! Nie chce choćby (tak) ukarać gestapowca, który wyrzuca z okna żydowskie niemowlę, że ręka mu odpada?!… A przecież inne cuda bywają…

Rozważania moje przerwał mój wybawca, który przyniósł na tacy pyszne – z czymś tam – kanapki do herbaty i zaczęła się konwersacja. Mówił o sobie, mnie podpytywał i popisywał się świńskimi kawałami. Gdy się upewnił, że mam „kindersztubę" – że jestem dobrze wychowany (czym w istocie mnie połechtał) – powiedział, że zrobi mi wspaniałą kolacyjkę z drinkiem i wykąpie mnie w pachnącej pianie przed spaniem, musi jednak na chwilkę skoczyć do sklepiku po coś dobrego. Na wszelki wypadek (gdyby ktoś chciał do niego wpaść) zamknął mnie na klucz. Ponieważ obiecana chwilka nadmiernie się wydłużała, przezornie wypatrywałem go przez – dostatecznie gęstą – firankę.

Wreszcie wynurzył się za zakrętem [prowadząc] granatowego policjanta idącego (może przypadkowo) tuż za nim. Doświadczony gorzkimi przeżyciami (choć także czasem przewrażliwiony) na chybił trafił wyskoczyłem z wysokiego parteru przez kuchenne okno na kocie łby po drugiej stronie domu. Pędziłem jak zwariowany, potykając się o grządki ogródka, za którym na niedużym placyku stało kilka komórek, a jedna z rupieciarni była niedomknięta. Wcisnąłem się tam szybko, przykryłem starym szaflikiem i – pewnie z wrażenia – naniosłem w portki. Przesiedziałem tak bez ruchu całą noc i dopiero raniutko wygramoliłem się cichutko, ostrożnie wylazłem na jakieś uliczki, gdzie wpasowałem się w grupkę Żydów, idących za miasto do sortowania przesuszonych desek.

Po drodze starałem się rozgryźć mojego dobroczyńcę – czy ten pan Stasiek był podstępnym antysemitą – kapusiem, czy może tylko pedałem – choć jedno nie wyklucza przecież drugiego.

Nie żałowałem jednak mojej podjętej asekuracyjnej decyzji. Wyczerpany poprzednią nocą nie miałem ochoty na (syzyfowe) przekładanie desek i nie zamierzałem udzielać się przy takiej ciężkiej robocie. Pokręciłem się trochę po placu, wlazłem pod płotem na dość wysoką stertę, gdzie wyrzuciłem zafajdane gacie i – ułożywszy się na słoneczku – pogrążyłem się w błogim śnie, z którego obudziło mnie nieprzyjaznym szczekaniem potężne psisko. Po chwili wytropił mnie też cywil z piórkiem w kapeluszu i zawrzeszczał – „Markierant was?" Półprzytomny odpowiedziałem potulnie – „Nein, kranke", ale nic mi to nie

pomogło. Ściągnął mnie z tego legowiska i – z szarpaną przez Rolfa nogawką – kopniakami zagnał do dyżurki, w której było już paru takich jak ja maruderów. Siedzieliśmy zamknięci w tej drucianej budzie – przedzielonej pionową ażurową ścianką – nie wiedząc, co nas czeka. Patrzyłem przez szpary na krzątających się pobratymców i zobaczyłem wjeżdżających na plac niewróżących nic dobrego niemieckich żandarmów. Bez chwili wahania desperacko wdrapałem się na stryszek, odciągnąłem dość słabo przybitą deskę i przeturlałem się za drugą stronę ścianki, na jakieś żelastwa. Siedziałem w kącie jak mysz pod miotłą, i dopiero gdy samochód ze skazańcami (winowajcami) odjechał, a na placu zaległa cisza, postanowiłem przez szczelinę wybadać sytuację. Jak podnosiłem się z kucania, zabrzęczała (kurwa!) pod nogami jakaś piła i po chwili usłyszałem „Wer da?!". Był to przemyski strażnik, który z trudem mnie wypuścił i kazał spierdalać do getta.

Pogłoski o wywózce okazały się nieprawdziwe.

Po fałszywym alarmie rychło w getcie gruchnęła wiarygodna wiadomość, że tym razem wywózka nastąpi na pewno za dwa dni. Nie zwlekając, by nie było za późno, zabrałem cały mój dobytek (miałem na sobie kilka koszul, sweter i grubawe palto) i wyruszyłem do pracy na aryjską stronę, lecz w drodze powrotnej urwałem się z mojej kolumny, a dołączyłem do innej grupy Żydów, którzy szli w przeciwnym od getta kierunku. Okazało się, że mają na przedmieściu tymczasową noclegownię w sporej szopie. Położyłem się spać w ubraniu na pryczy pod sufitem. Wczesnym rankiem rozległy się warkoty samochodów i krzyki – „Alle raus! Raus!". Bez zastanowienia szybko zeskoczyłem – w porannym zamieszaniu na placu zamiast na zbiórkę w szeregu – pobiegłem za budynek, gdzie stała długawa latryna i w obłędnym strachu wskoczyłem w to szambo. Zapadałem się coraz głębiej – prawie po szyję, nie wyczuwając gruntu pod nogami, ale palto było jakby moim kołem ratunkowym (i utrzymywało mnie chyba na powierzchni). Na wszelki wypadek nałożyłem na głowę jakiś dziurawy garnek czy nocnik i tak przetrwałem, dopóki nie nastała cisza. Myślałem, że w końcu już tak zatonę, ale wreszcie zobaczyłem rudawego Żyda sikającego w drugi obok mnie otwór. Gdy się do niego z głębi odezwałem, wybiegł ogłupiały z wrażenia, lecz po chwili wrócił z kilkoma mężczyznami, którzy zarzucili mi dość gruby sznur i wyciągnęli mnie z tych gówien.

Rozebrałem się do naga, moje potwornie śmierdzące łachy wrzuciłem do kloaki i prawie cały dzień szorowałem się pod studnią, bym mógł wrócić znowu do getta.

Ponieważ i tym razem akcji wywózkowej nie było, poniektórzy chcieli się łudzić, że już może się nie odbędzie i sytuacja w getcie stabilizowała się. Żyliśmy i umieraliśmy niby normalnie, więc trzeba było sobie jakoś dawać radę.

Mnie się udało nawet zamieszkać w suterenie i spać na prawdziwym łóżku. Wiodło mi się jako tako, bo handlowałem czym się dało. Sprzedawałem akurat na dość ruchliwym placyku czapki (i właśnie jedną dawałem mojemu kumplowi Heńkowi na kredyt), gdy nadjechały nieoczekiwanie auta gestapowców i zaczęła się łapanka. Pojawiły się Kommandantenfuhrer Benewitz[10] i niejaki Józef Kajtasz (podobno Volksdeutch – Schu-

[10] SS-Sturmscharführer Rudolf Heinrich Bennewitz, komendant *Grenzpolizeikommissariat Przemysl*. Sądzony w Stuttgarcie w roku 1963. Postępowanie zawieszono z powodu złego stanu zdrowia podsądnego, który zmarł osiem lat później, zob. A. Freiwald, M. Mendelsohn, *The Last Nazi: Josef Schwammberger and the Nazi Past*, New York 1994, s. 215.

po z Poznania)[11], który zgłaszał się na ochotnika do mordowania Żydów. Mówił dobrze po polsku i lubił się przechwalać, że osobiście rozwalił kilkuset „parchów" w rekordowym tempie. Gdy rozległy się strzały, ludzie rozpierzchli się na wszystkie strony, lecz niektórzy jednak pozostali zabici na miejscu. Ja wpadłem do jakiejś kamienicy – uciekałem po schodach do góry, a za mną, strzelając, pędził hitlerowiec, ale nie mógł mnie trafić, gdyż biegłem ciągle o pół piętra wyżej – za zakrętem. W końcu dopadł mnie pod strychem i kopniakiem zepchnął (w dół) ze schodów. Na podwórku wskazał mi rewolwerem ścianę, pod którą stało już kilku połapanych mężczyzn, a gdy jeden z nich rzucił mu się pod nogi z błaganiem o darowanie mu życia, zastrzelił go od razu. Ja stałem otępiały, jakoś dziwnie bezwolny, bezsilny i – nie zapomnę tego nigdy – spokojnie czekałem na strzał…

Egzekucji pod murem nie było, ale gestapowcy zaprowadzili nas pod Judenrat, gdzie stało już kilkudziesięciu pojmanych (jeden był ranny) mężczyzn. Rozkazali nam siadać na ziemi, aby nikt nie próbował uciekać. (Koło mnie znalazł się Heniek i – nie do wiary w takiej chwili powiedziałem do niego – „Już mi nie zapłacisz za czapkę, bo zaraz nas tu rozwalą…"). Strzały jeszcze nie padły i przemówił do nas judenratowiec, któremu podpowiadał oficer. – Mamy się nie bać, bo nic nam nie grozi – będziemy tylko zakładnikami za zasztyletowanie przez Krebsa Majera wysokiego rangą oficera gestapo[12], ale jak tylko winowajcę złapią (z zabranym po zabójstwie pistoletem), zostaniemy wszyscy zwolnieni. Na razie pięćdziesięciu Żydów idzie do przemyskiego więzienia…

Staliśmy w szeregu na dziedzińcu więziennym – rewizja. Podchodził do nas żandarm z otwartą teczką i kazał wrzucać, kto co ma, a przede wszystkim *Gold und Geld*. Ja miałem w drelichowej torbie chleb, a w kieszeni przerobiony z noża nieduży sztylet z rączką do chowania ostrza. Torbę przewiesiłem za plecy i wrzuciłem do podstawionej teczki najpierw tylko uchwyt, a gdy żandarm wracał – w pogniecionym papierze – (ostrze, klingę), które – po rozwinięciu opakowania – dopasował w całość, pokazując oficerowi tę żydowską broń. Struchlałem, gdyż stojący obok SS-owiec dotknął kabury i powiedział – *So wie so – Tod*…

Bogu ducha winien znalazłem się za kratkami w celi – Nr 30 – która musiała pomieścić pięćdziesiąt osób. – Nerwy puściły i rozpętało się piekło…

Do nieba wzniosła się jedna wielka rozpacz. – Lamenty, modlitwy, skargi i prośby – Adonaj! Adonaj! Adonaj! Dlaczegoś nas opuścił? Dlaczego na to pozwalasz? Gdzie jesteś???!!!

Pod wieczór, gdy uspokoiło się trochę, wyjąłem z torby mój – z trwogą przemycony – chleb i rozdzieliłem po kawałku, gdyż tego dnia nie dali nam nic do jedzenia. Dopiero nazajutrz dostaliśmy zbożową kawę i po kromce razowca, a na obiad jakąś lurę czegoś tam. Niektórzy z miejsca dostali sraczki, a mieliśmy tylko jeden kibel, do którego ustawiały się kolejki. Smród był nie do wytrzymania – oby nie gorsze tortury…

Nie wierzyliśmy w niemieckie przyrzeczenie – wiedzieliśmy, że rankiem wywożą więźniów na rozwałkę. Nie mogliśmy nic z okna zobaczyć, gdyż było zasłonięte żela-

[11] Znany oprawca. Inni świadkowie twierdzą, że ze Śląska, i że był sądzony po wojnie, zob. zeznania Samuela Weitmana, AŻIH 301/680.

[12] Stało się to 10 maja 1943 roku, zob. A. Menczer, *op. cit.*, s. 387.

znymi blindami, ale codziennie od świtu nasłuchiwaliśmy, czy odezwie się samochodowy warkot zwiastujący najgorsze. Jak tylko przeminął ranek w ciszy, wiedzieliśmy, że mamy chociaż przed sobą jeszcze jeden dzień życia.

Którejś nocy wrzucono nam do celi dodatkowego zmaltretowanego więźnia. Z początku pomyślałem, że to może „wtyczka", ale okazało się, że był to Grund, który uciekł z Grünem i Krebsem do lasu po zasztyletowaniu gestapowca Reisnera[13].

Mieli oni wprawdzie rewolwer, lecz niestety nic do jedzenia, więc Grund wyszedł do wsi po żywność, ale został złapany (wydany?), a gdy – by nie sypnąć kolegów – wywiódł w pole gestapowców – wtedy to tak okrutnie go pobili. Rano przenieśli go do innej celi.

Po dwóch dniach ujęto także Grüna, który próbował załatwić przedostanie się z Krebsem do polskiej partyzantki, ale Żydów przyjąć nie chcieli. Wreszcie i Krebs musiał wyjść z lasu. Skrył się w bóżnicy (przy ul. Słowackiego) i – na swoją zgubę – przesłał do getta list z prośbą o prowiant. Podobno pewna kobieta, której mąż był z nami w więzieniu, przekazała tę wiadomość do Judenratu i gestapowcy zrobili na Krebsa obławę. Posłali jednak na niego „ordnerów" (sami bali się ryzykować), którzy przedstawili mu sytuację zakładników, a on poddał się bez walki...

W naszej 30 celi ogromna radość – niesamowita histeria szczęśliwości. Tak to już jest w życiu i tak to było, gdy klucznik oznajmił nam przez wizjer, że nas wypuszczą na wolność... Okrzykom i uściskom nie było końca. Zaczęły się śpiewy, żarty, wice chlapał profesor Stegman, inżynier Spitzberg odtańczył kozaka (dostał nawet brawa), rozległy się śmiechy i śpiewy – nastał ogólny nastrój wesołości i świętowania cudu nie do wiary.

Nareszcie drzwi celi zostały szeroko otworzone i usłyszeliśmy – długo wyczekiwane – „Alle raus!" Ustawiono nas na korytarzu w długi szereg i oficer wywołał z kartki (po protekcji?) Apfelgrüna, Hüniga, Alojzego Reicha i Janka Dorlicha[14]. Następnie przechodząc przed nami wyciągał (na chybił trafił) kogo chciał – „Kom – Kom – Du – Du" i w ten sposób przed nami powstał szereg. Nie wiedziałem po co, ale ukradkiem zrobiłem krok do przodu. Dostałem za to na odlew w pysk i zatoczyłem się do tyłu – „Zurück!!" – na swoje miejsce. Po chwili mój szereg wyprowadzono na podwórze i na wolność do getta...

Już z daleka ujrzałem na placu spędzony tłum, który przyglądał się jak Żyd Żyda wiesza. Tym razem katami musieli być wylosowani żydowscy „ordnerzy", którzy powiesili na długim ganku Grunda, Grüna i Krebsa Majera.

Rankiem następnego dnia wywieziono z więzienia pozostałych 25 zakładników i rozstrzelano ich. (Jeden podobno – Weglanfer – cudem się uratował.) Zginęli wtedy

---

[13] Karl Friedrich Reisener przeżył napaść i był obecny przy egzekucji owych trzech Żydów. Sądzony w Hamburgu w 1969 roku, skazany na dożywotnie więzienie. A. Freiwald, M. Mendelsohn, *op. cit.*, New York 1994, s. 216; Justiz und NS-Verbrechen, t. XXXI, Institute of Criminal Law of the University of Amsterdam.

[14] Janek [Jakub] Dorlich przeżył, ukrywała go później 17-letnia Stefania Podgórska na ul. Tatarskiej 3 (wraz z dwunastoma innymi Żydami), zob. J.J. Hartman, J. Krochmal (red.), *Pamiętam każdy dzień... Losy Żydów przemyskich podczas II wojny światowej*, Przemyśl 2001, s. 47–48.

z rąk hitlerowskich oprawców – Meilech Krzeszower, Jerzy Schaffel, Janek Ehrman i inni.

Getto nadal istniało i o wyw[ózce] nie było mowy, a Niemcy ponosili na wsch[odzie] klęski – cofali się, więc liczyliśmy na to, że rychło wreszcie może nas Rosjanie wyzwolą.

Był to już pewnie rok 1943–44[15], a getto przemyskie nadal istniało i nie zanosiło się na żadną wywózkę. Wprawdzie zamach na Hitlera się nie udał, ale Niemcy – ponosząc coraz większe klęski – cofali się. (Tylko patrzeć jak Rosjanie wyzwolą Polskę, no i nas oczywiście).

Nikt niczego nie wiedział i nie mógł przewidzieć (może tylko zamożny kupiec – niejaki Lewin, wychodzący z żoną przez przygotowaną dziurę w płocie – prosto w ręce przekupionego „szmalcownika" i policjanta[16]), że nadchodzi całkowita likwidacja przemyskiego getta.

Jeszcze przed świtem zobaczyłem jadącą wprost na okna mojej sutereny długą kolumnę wojskowych samochodów z zapalonymi reflektorami. Widok był porażający! Nie zapomnę tego do końca życia! Patrzyłem w osłupieniu, jakby sparaliżowany, i dopiero – mieszkający ze mną – Heniek (któremu po więzieniu darowałem jednak dług za czapkę) pociągnął mnie na korytarz. Opętani strachem ludzie biegali w górę i w dół po schodach, nie wiedząc po co…

Nic a nic nie wiedziałem, że w największej tajemnicy zrobiono w naszej kamienicy kryjówki – tzw. bunkry. Zdziwiony zobaczyłem, że na piętrze wszyscy pchają się do jednego mieszkania, więc i ja się tam z Heńkiem wcisnąłem na siłę. W pokoju stała żelazna kuchnia, a przed nią leżała prostokątna blacha (jako zabezpieczenie przed rozżarzonym węglem), maskująca wejście przez otwór w podłodze do pokoju na parterze; drzwi do tego pomieszczenia zostały skasowane – zamurowano je od strony korytarza idealnie równo ze ścianą. Z górnego pokoju zeszliśmy wszyscy po drabinie i blaszana klapka została przyciągnięta.

Przez okno z firanką – wychodzące na aryjską ulicę – widać było dokładnie tuż pod nami niemieckie oddziały likwidacyjne, strzelające to tu, to tam. Staliśmy w zatłoczonym pokoiku, pocąc się strasznie, gdyż nie było czym oddychać i z pragnienia zlizywałem ze ściennej tapety krople wilgoci. W tej ciasnocie – jak Boga kocham – zsikałem się w spodnie. Dopiero wieczorem, gdy wszystko ucichło, wyszliśmy z Heńkiem po drabinie na przeszpiegi. Plądrując kredensy, odkryliśmy przypadkowo na strychu bunkier, który został skrócony przez wymurowanie bocznej, nowej ściany z czerwonych cegieł z zamaskowanym (ceglaną klapą) wejściem. Fantastyczna pomysłowość z perfekcyjnym wykonaniem – nie do wiary! Było tam jeszcze ciaśniej, gdyż ludzie z dolnego bunkra wpakowali się do tej bezpieczniejszej kryjówki. Po nocy Niemcy wznowili swoje działania. Penetrowali cały dom i chociaż nas nie odkryli, nie obyło się bez ofiar. Niewinne dziecko zginęło, by inni mogli przeżyć. Gdy usłyszeliśmy na strychu kroki i szwargot, jakieś niemowlę poczęło płakać i przerażeni ludzie zadusili je poduszką. Oszalałą z rozpaczy matkę ledwo udało się uratować.

---

[15] Był to rok 1943.

[16] Tak schwytano żonę Izaaka Lewina, jego samego nieco później, w innych okolicznościach, zob. J.J. Hartman, J. Krochmal, s. 120.

Tymczasem z ulic rozległy się nawoływania „ordnerów" informujące, że wszystkim, którzy dobrowolnie wyjdą z ukryć, nic się złego nie stanie, ci zaś, którzy się nie ujawnią, a zostaną złapani, będą rozstrzelani. Bunkier opustoszał – ja jednak zostałem. Namawiałem Heńka, by także został, ale nie mógł się zdecydować i wyszedł... Ale wrócił!

Tych, którzy uwierzyli, że nic im nie grozi, zapędzono do sali gimnastycznej, gdzie czekali już na pewną śmierć. Przez parę godzin słychać było serie strzałów, a gdy już umilkły, dolatywał do nas przez okienko strychowe swąd spalenizny. To oprawcy układali zamordowanych w sterty i palili zwłoki, by zatrzeć ślady swoich zbrodni.

Przed wieczorem wyszliśmy z Heńkiem na przedpole strychu, by udać się na przeszpiegi do mieszkań w poszukiwaniu resztek żywności (jedliśmy już tylko cebulę) i niespodziewanie zobaczyłem bardzo ładną blondynkę, niosącą w kubku gorącą herbatę. Okazało się (wydała), że jej mąż – Kraut – z synkiem czeka na nią na dachu w bunkrze, który zrobił tylko dla swojej rodziny. Była tam budka z okienkiem wychodzącym na aryjską stronę. Cały dach spoczywał na deskach, dorobił więc pod budką drewniane drzwiczki na zawiasach, które zamykało się za sobą i na nich się leżało. Siedzenie w dzień było niebezpieczne, gdyż mógł ktoś z ulicy nas wypatrzyć. (Kto by pomyślał, że na dachu można było zrobić taką fajną kryjówkę). Pan Kraut (elektryk ze smykałką), chciał nie chciał, przygarnął mnie z Heńkiem (może w obawie, żebyśmy go przypadkiem nie sypnęli), ale przezornie oddzielił nas synkiem od żony przed spaniem.

Bunkier był nieźle zaprowiantowany, bo chyba „ordnerzy" podkładali czasem świeży (gliniasty trochę) chleb, korzyść więc i dla nas była wyraźna, choć ciasnota okropna.

Pewnego ranka rozdudniły się – ni stąd ni zowąd – wybuchy. Systematyczni Niemcy wysadzali po kolei domy z bunkrami (a było ich sporo), by wykurzyć niedobitki i zrównać getto z ziemią. Wybuchy zbliżały się do nas, więc przytuleni do siebie z trwogi czekaliśmy przekonani, że lada moment wylecimy w powietrze. Aż tu pod nami usłyszeliśmy: „To tak nie było – co to jest? – Ktoś tu pozabijał deskami!" Nagle – łup-łup-łup! – i zaczęliśmy podskakiwać na naszym legowisku. Granatowy policjant, którego sprowadził niejaki Szczurko – właściciel tej kamienicy[17], by ją uchronić od wysadzenia, walił korbą karabinu w naszą klapę. Cóż było robić? – nie było rady – wyszliśmy sami (z naszego schowka).

Kompletnie zbaraniały gospodarz domu szybko odbiegł gdzieś, a pan władza zabrał nas na gestapo.

Po drodze, gdy policjant potknął się o jakąś cegłę, rzuciliśmy się z Heńkiem desperacko do ucieczki w przeciwne strony, a on nie wiedząc, którego gonić, zatrzymał Krauta i jego żonę z synkiem. Potem szybko jednak zrobiono obławę, która wypłoszyła nas z ruin strzałami. Wygrzebałem się spod gruzów i zobaczyłem pojmanego też Heńka. Zostaliśmy zamknięci w przedwojennych koszarach[18], gdzie spotkaliśmy rodzinę Krautów, którzy podjęli stąd nieudaną próbę ucieczki. Tego samego dnia musiałem kopać dół – (może dla nich, a może dla mnie?) – nie wiedząc, czy z niego wyjdę...

---

[17] Przy ul. Kopernika 20, zob. *Wykaz ulic, placów i domów w mieście Przemyślu*, Przemyśl 1932.

[18] Na rogu ulic Czarnieckiego i Rokitniańskiej; wcześniej były tam szopy „getta A".

W koszarach czekaliśmy na zapowiedzianą wywózkę i przesiedlenie ostatnich (około stu sprawnych do pracy) Żydów do innego miasta, gdyż Przemyśl miał być „Judenfrei".

Zimową nocą (1 lutego 1944 roku) podstawiono duże towarowe wagony z zadrutowanymi lufcikami, do których wpakowano samych mężczyzn. Wchodziliśmy po pochyłej kładce (odliczani z niemiecką dokładnością i perfekcyjnie potem zaplombowani) do wagonu z informacją „Juden". Jechaliśmy stłoczeni na stojąco bez pośpiechu (wszak to tylko Żydzi – towar niepsujący się), przetaczani (bez jedzenia i picia) na różne tory.

Na jakiejś bocznicy pewien litościwy kolejarz wsunął nam ukradkiem przez okienko litrową butelkę z wodą i pół chleba. Tylko raz tak się zdarzyło, choć przystanków było więcej. Nie wszyscy przecież byli (wtedy) odważni – groziła za to wszakże kara śmierci i nie każdy chciał ryzykować.

Wreszcie dobiliśmy do docelowej stacji kolejowej z napisem Stalowa Wola, a dokładnym miejscem naszego przeznaczenia (pobytu) okazał się „Obóz Pracy dla Żydów".

Na rampie po wyjściu z wagonów odbył się przegląd przywiezionego w nieludzkich warunkach transportu. Rozkazano nam rozebrać się pod prysznic, a rzeczy oddać do odwszenia („Entleusung") i wtedy – wpadka! – pewien mężczyzna przemycił swoją żonę, którą – rzecz jasna – odkryto, mimo że obcięła włosy na chłopca i była prawie bez piersi. Zabrano ją na bok i padł tylko jeden strzał…

Znaleźliśmy się (w końcu) na terenie obozu, gdzie stały w czworoboku drewniane baraki z piętrowymi pryczami. Na środku placu była studnia z rynną, a w rogu miał swój „gabinet" „Herr Arzt" – niezbyt dobry lekarz. (Podobno przeznaczył do likwidacji starych Żydów, by zwolniły się miejsca dla nas).

Złapaliśmy z Heńkiem prycze bliżej żelaznego piecyka, on wolał dolną, a mnie było „ganz egal", więc spałem nad nim. Niestety nie mieliśmy warunków komfortowych – w szczelinach roiło się od (niemożliwych do wytępienia, choć urządzaliśmy polowania) pluskiew, łaziły po nas wszy, a także mendy, a lekarz na tę dolegliwość szarej maści nie dawał. Żarcie było typowo obozowe – kawa zbożowa lub herbata, pajdka chleba, buraczana zupa, kapuśniak, a czasem krupnik. Z początku miałem nawet nieźle, bo obierałem w kuchni kartofle, ale potem dostałem paskudnie ciężką pracę przy remontach pieców martenowskich. Wchodziło się do takiego nie całkiem wystygłego wnętrza i (w dziurawych rękawiczkach) gołymi palcami wyrywało uszkodzone gorące jeszcze cegły. Żar nie pozwalał na długie tam przebywanie i musiałem wystawiać głowę, by odetchnąć, a ręce miałem tak okropnie pokaleczone, że aż porobiły mi się ropnie. Wtedy to dobry pan „Arzt" dał mi jakieś mazidło i inną lżejszą robotę przy budowie nowej hali. Z początku dźwigałem cement, nosiłki z cegłami lub woziłem taczką piasek, ale potem dostałem się na betonowy dach i polewałem go wodą, by nie pękał. Na górze nikt mnie nie widział, więc czasem polegiwałem sobie w słońcu i goiłem swoje rany na rękach…

Pod koniec lipca [19]44 r. zbliżał się front – pojawiły się rosyjskie „kukuruźniki" i myśliwskie samoloty, słychać też było głuche wybuchy bomb oraz walenie z armat.

W trosce o nasze życie Niemcy postanowili wtedy zlikwidować obóz i wywieźć nas gdzieś, na zachód, by nas uratować.

Gdy nas eskortowali przez duży gęsty las, zaczęliśmy uciekać. Pędziłem – potykając się o pniaki – w kierunku strzałów z karabinów maszynowych i – w zagubionej orientacji – myślałem, że to może są kule niemieckie z pościgu, ale pomyliłem się.

Na polnej drodze ujrzałem na wychudłej szkapinie prawdziwego rosyjskiego „sołdata"! Pijany ze szczęścia podbiegłem do niego z okrzykiem radości i z wrażenia zamiast wyzwoliciela pocałowałem końską chabetę w samą dupę!... Potem dopiero uściskałem mojego wybawcę, poklepując go po plecach.

Po chwili pojawiło się jeszcze kilku uciekinierów z obozu, którzy – okrążywszy wianuszkiem zbaraniałego ze zdziwienia wojaka – w szaleńczych podskokach wykrzykiwali bez opamiętania „Stalin! Staalin! Staaalin!" i odśpiewali coś w rodzaju „Szalom Alejchem".

Zakłopotany naszą wylewnością (a może jednak podejrzliwy) „aswabaditiel" zaprowadził nas na „wsiakij słuczaj" na pobliską polankę, gdzie „starszyna" sprawdził z obowiązku naszą jewrejską wiarygodność, a „wracz" z przyfrontowego szpitalika polowego przebadał nas po łebkach, zalecając powściągliwość w jedzeniu i piciu.

Dostaliśmy po sporym ruskim łyku śmierdzącego samogonu, „na prikusku" razowiec i świńską „tuszonkę", a potem na obiad wojskową grochówkę z polowej kuchni. Pycha!

Trochę ululany leżałem beztrosko na mokrej od rosy murawie, obżerając się za wszystkie czasy mojej niedoli i przymusowych postów wbrew zaleceniom lekarza. Nareszcie nasycony i wypoczęty wyruszyłem piechotką w stronę mojego Przemyśla.

Ze szczęścia leciutki jak piórko na wietrze szedłem, podziwiając najpiękniejsze na świecie nasze pola, drzewa w słońcu, ale niebawem mój zbuntowany żołądek dał o sobie znać i co chwila musiałem w krzakach spuszczać portki...

Wypatrzyli mnie – kucającego po raz n-ty w zaroślach – dwaj partyzanci w cywilu z polskimi orzełkami na czapkach wojskowych i sądząc, że może jestem wrogim dla nich ukraińcem, wzięli mnie na cel z rozkazem – ręce do góry! Pomyślałem, że przeznaczone mi było zginąć, ale teraz – już prawie po wojnie – dlaczego? Za co? W tej tak zgubnej dla mnie chwili – zapewne olśniony przez Boga – znalazłem najodpowiedniejsze wyjście z opresji. Podciągając do góry opuszczone spodnie, podsunąłem im pod nos mojego obrzezanego kutasa i oni – zatknąwszy broń za pasy – śmiali się do rozpuku. Z oddali pomachaliśmy sobie jeszcze, ale jak tylko zniknęli za zakrętem, jak najszybciej znowu przykucnąłem w krzakach, dziękując mojemu żydowskiemu Panu Bogu za czuwanie nade mną...

Po wyzwoleniu Przemyśla od Niemców, po zakończeniu mojej okupacyjnej gehenny – los nie chciał być jeszcze dla mnie łaskawy i nasłał na mnie ruskich (choć podobno zrobił to antysemicki stróż (dozorca) domu.

Jak tylko front przesunął się za miasto na zachód, Sowieci brali Żydów do wojska i – po krótkim przeszkoleniu – wysyłali na pierwsze linie, żeby mogli mścić się bliżej Berlina na Hitlerze. Zostałem w mieszkaniu pojmany przez dwóch „sołdatów" i zamknięty w jakiejś szkolnej sali. Myśląc, że na wojnie to już na pewno śmierć mnie dopadnie, zanuciłem sobie smętnie – „To ostatnia niedziela" i z korytarza usłyszałem – „Chto to tak krasiwa pajot? Paczemu wy jewo wziali – puskajtie jewo!" Wypuścili...

Okazało się ponadto, że byłem trochę za młody – miałem dokumenty z lipną datą urodzenia, ale zapomniałem się do tego przyznać…

Heniek był ode mnie o 3 lata starszy i (strasznie) palił się do wojska, by powybijać trochę Niemców, ale nie wiem, czy nie zginął podczas ucieczki z obozu, bo nigdy go już nie spotkałem – straciłem go na zawsze.

Nareszcie skończyła się martyrologia przemyskich Żydów.

~~Gdybym tak jeszcze mógł opisać całe burzliwe życie Esriela – choć może to i lepiej że już pewnie nie zdążę – tak dziwny ze mnie człowiek że aż wstyd się przyznać…~~

* * *

Na tych przekreślonych przez autora zdaniach kończy się „Notatnik Mojej Pamięci" Esriela Leimsiedera.

Wszystkie miejsca opisywane przez Esriela, budynki, place, istnieją nadal w niemal niezmienionym stanie. Getto, założone w jednej z biedniejszych dzielnic miasta, spustoszonej wcześniej przez powódź, wciąż jest dzielnicą biedną, brudną i zaniedbaną, zamieszkiwaną przez bezrobotnych utrzymujących się z handlu na pobliskim bazarze i udzielania noclegu tłumom ukraińskich i azjatyckich handlarzy. Na miejscu przemyskiego Umschlagplatzu zbudowano osiedle mieszkaniowe. Na murze więzienia, w pobliżu wspominanej sali gimnastycznej na tyłach szkoły, dawnego Judenratu, przemyski oddział TSKŻ ufundował w 1956 roku tablicę upamiętniającą masową egzekucję. Na budynku szkoły od strony ul. Kopernika jeden z ocalonych ufundował przed kilkoma laty tablicę pamiątkową z mapą getta. Kiedy ocaleni i ocalali odwiedzają teraz te miejsca, przywołują te same wydarzenia, o których pisze Leimsieder, wspominają te same osoby.

Jak wielu innych autorów podobnych krótkich relacji Esriel Leimsieder opisuje głównie swoje własne losy i przeżycia, ze szczególnym uwzględnieniem tych sytuacji, w których był o krok od śmierci. O ile jednak w przypadku znacznej części relacji autorzy nie wymieniają nazwisk osób, z którymi się zetknęli, Leimsieder wymienia nazwiska, wskazuje miejsca i komentuje zachowania. Dzięki temu wspomnienia Leimsiedera są cennym uzupełnieniem kilkunastu innych relacji z przemyskiego getta. Wyjątkowy jest też styl opowiadania Esriela. Wspomnienia pisane u schyłku życia charakteryzuje zwykle dystans wobec wydarzeń sprzed lat. Esriel Leimsieder opisuje miejsca z fotograficzną wiernością, a wydarzenia tak, jakby przeżywał je na nowo. Można odnieść wrażenie, że piszący pozostał tym kilkunastoletnim chłopcem z getta. Nawet wtedy, gdy stara się zdystansować od emocji ironią czy humorem, w pełni identyfikuje się z postacią, którą opisuje. A opisuje swoje przeżycia językiem młodego chłopaka, z dużą swadą, nadając im koloryt i dynamikę. Niezwykle obrazowo. Każdy epizod jest niemal gotową filmową etiudą. Nie jest jednak w stanie zbliżyć się do najgłębszych uczuć. Nie jest w stanie scharakteryzować, nawet pobieżnie, swoich rodziców. Taka próba oznaczałaby konfrontację z bólem po ich utracie. W tym przemilczeniu ujawnia się trudność autora w dotarciu do uczuć. W niezamierzony sposób autor pokazuje swoją strategię radzenia sobie z traumą. Odpowiada w ten sposób również

na pytania o swoje późniejsze wybory. Nie tylko zresztą swoje. Dzięki tej relacji możemy dowiedzieć się czegoś więcej o przyczynach późniejszego milczenia innych ocalałych. Na przestrzeni kilku zaledwie kartek opisuje swoją drogę od zagubienia po stracie najbliższych, poprzez doświadczenie samotnej codziennej walki o życie, aż po moment wyzwolenia, które przeżywa jako w pełni już ukształtowany, pewny siebie, młody człowiek. Pokazując, że strategie radzenia sobie z pamięcią o Zagładzie rodziły się, gdy Zagłada jeszcze była w toku, a nie w konfrontacji z powojennym otoczeniem. Wyzwolenie jest w tym przypadku punktem zwrotnym w życiu, ale nie w rozwoju, nie w przeżywaniu niedalekiej przeszłości ani w konstruowaniu reprezentacji tej przeszłości. Wspomnienia te są też kolejnym przykładem różnicy w przeżywaniu i pamiętaniu przeszłości przez tych, którzy byli ratowani, byli mniej lub bardziej biernym przedmiotem zabiegów innych, a tych, którzy ratowali się sami. Jedną z konsekwencji tej odmienności jest, jak się wydaje, trudniejszy dostęp tych ostatnich do własnych uczuć.

Dla zainteresowanych żydowskim Przemyślem świadectwo Esriela jest bezcennym źródłem informacji, innych może urzec swoisty sposób narracji autora, jego sposób radzenia sobie z pamięcią o koszmarze, który przeżył, język opisu sytuacji ekstremalnych. Dla jeszcze innych, relacja ta jest wzruszającym wspomnieniem o człowieku, którego znali.

Janek Zimmermann (ocalony, młodszy od Esriela, ukrywał się w innym bunkrze, potem, razem z Dorlichem i innymi w kryjówce po aryjskiej stronie) pisze:

„Łukaszu, ja go szukam już bardzo długo, fajny chłopak, był naszym przyjacielem i zawsze mówił, że chce być aktorem. Nie do wiary, cieszę się, że mogłem to przeczytać. Cesia też. On jadł u nas, kochał naszą mamę. Szkoda, że go wcześniej nie znalazłem... Znałem Esriela jako Edzia. Ubierał się w bardzo szczególny sposób. Nosił pelerynę i kapelusz z piórkiem, żeby wyglądać w bardziej wyszukany sposób [to look more sophisticated]. Cesia mówi, że występował w przemyskim teatrze, ale ja nie chodziłem na przedstawienia, więc nie mogę o tym nic powiedzieć. Już wtedy, kiedy go poznałem, a było to w 1944 roku, wyrażał pragnienie występowania na scenie. To było w sierpniu albo we wrześniu, kiedy do nas przyszedł. Mieszkaliśmy wtedy na Słowackiego. W getcie go nie znałem. Tak, siedziałem obok balkonu, na którym wieszano tych trzech, ale tych 25 wychodzących z więzienia nie widziałem. Myślę, że po uwolnieniu przez Sowietów od służby wojskowej wyjechał do innego miasta. Moja siostra Cesia bardzo go lubiła..."

Opracował *Łukasz Biedka*

Od Redakcji: Po wojnie Esriel Leimsieder zmienił nazwisko, został aktorem. Dyplom warszawskiej PWST otrzymał w 1951 roku. Na scenie zadebiutował rok wcześniej. Występował w Teatrze Nowym w Łodzi oraz w Warszawie: w Teatrze Polskim, Klasycznym, Rozmaitości. Dwukrotnie odznaczony – Srebrnym Krzyżem Zasługi (1955) i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1986). Ma w dorobku role w serialach: *Czterdziestolatek*, *Wojna domowa*, *Kolumbowie* (grał rolę granatowego po-

licjanta-szmalcownika) oraz filmowe (m.in. *Ewa chce spać*, *Baza ludzi umarłych*, *Pan Anatol szuka miliona*, *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*, *Sublokator*, *Gdziekolwiek jesteś, panie prezydencie*, *Hallo Szpicbródka*). Zmarł 4 czerwca 2006 w Warszawie, pochowany na Powązkach.

Życzył sobie przed śmiercią, by jego wspomnienia z okresu wojny zostały opublikowane. Rodzina Autora nie życzy sobie ujawnienia jego powojennego nazwiska.

Słowa kluczowe
Przemyśl, getto w Przemyślu, życie codzienne Żydów pod okupacją niemiecką

Abstract
An unknown testimony from the Przemyśl ghetto of Esriel Leimsieder, submitted for publication after his death in 2006. The author concentrates on his own fate and experiences, particularly on those situations, when he narrowly escaped death. While most known testimonies do not mention the names of people they had contacts with, Leimsieder does name them, identifies places and comments on their behaviour. thus his reminiscences are a valuable supplement to several other testimonies from the Przemyśl ghetto.

Key words
Przemyśl, Przemyśl ghetto, everyday life of Jews under the German occupation